

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 50 zł.
 $\frac{1}{2}$ „ — 25 „
 $\frac{1}{4}$ „ — 13 „
 $\frac{1}{8}$ „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Pokój, czy wojna?

Takie pytanie stawia rządowi litewskiemu p. Piotr Lemiesz, po wyjeździe z Wilna p. K. Okulicza, naczelny publicysta „Kurjera Wileńskiego”. Czy pytanie to nasunęło się p. Lemieszowi samorzutnie, czy też zostało podyktowane przez czynniki, od których „Kurjer Wileński” jest całkowicie uzależniony — tego rozstrzygać nie podejmujemy się. Artykuł raczej wygląda na inspirowany, zbyt jest bowiem nieudolnie sklecony, by posądzać jego autora o własną inicjatywę.

Wątpić zresztą należy, czy publicyście, trzymającym dłoń na pulsie wszechwiatowego organizmu politycznego może przyjść do głowy uzależnienie zagadnienia stosunków między Polską a Litwą od rozstrzelania w Rosji Sowieckiej marszałka Tuchaczewskiego i jego towarzyszy. Co tu może być wspólnego? Ale teza artykułu jest następująca: ponieważ Stalin jest obecnie zajęty sprawami wewnętrznymi, nie może więc udzielać dostatecznie uwagi kwestjom polityki zagranicznej, czyli że Litwa jest pozbawiona poparcia Sowietów, Polska zaś w stosunku do niej ma wolne ręce. Przeto „nadarza się sposobność powtórzyć pod adresem Kowna historyczne pytanie”: „A więc pokój, czy wojna?”

Nie wiemy, jak artykuł p. Piotra Lemiesza został przyjęty w Kownie i czy otrzymał w prasie litewskiej jakąkolwiek odpowiedź. Brutalny ton artykułu i płytkie zarzuty, w nim zawarte, spotkają się prawdopodobnie z należytą odprawą. Ale czy przewodnia myśl autora, że Litwa jest dziś bezbronna i nie może trwać nadal w stanie negacji stosunków dyplomatycznych ze swym o wiele potężniejszym sąsiadem, jest oparta na przesłankach realnych?

Czy istotnie rozstrzelanie marszałka Tuchaczewskiego i oddanych mu generałów osłabiło tak mocno Rosję Sowiecką, że nie jest ona w stanie wywierania żadnego wpływu na układ stosunków międzynarodowych? Czy położenie kresu konszachtom szeregu dygnitarzy wojskowych sowieckich z niemiecką Reichswehrą w celu zawarcia przymierza, kosztem Francji, rozwiązuje ręce zagranicznej polityce polskiej? Są to pytania, na które odpowiedź nasuwa się bez trudności.

W naszym najgłębszym przekonaniu nie może powstać taka sytuacja, któraby umożliwiła Polsce w stosunku do Litwy samodzielną akcję polityczną o zacięciu militarystycznym. Musi mieć wtedy poparcie albo Niemiec, narażając się na wojnę z Rosją, albo odwrotnie. Pomijamy już sprzeciw Francji i Anglii, nie mówiąc o Lidze Narodów i szeregu państw mniejszych. Samodzielną całkiem politykę wobec Litwy Polska może wprowadzić, nie oglądając się na mocarstwa sąsiednie i dalsze, ale musi to być polityka pokojowa, oparta na kompromisie i wskrzeszeniu idei Jagiellońskiej w jej pierwotnej, nieskalanej postaci.

Na to, niestety, się nie zanosi, bo przy dzisiejszym rozpasaniu nacjonalizmu we wszelkiej postaci, niema mowy o hasłach demokratycznych i federalistycznych.

Nastrojom wojowniczym w stosunku do słabszych sąsiadów odpowiada w zupełności egoistyczne nastawienie tejże prasy względem współobywateli innej narodowości. Nie mówiąc już o wzmagającym się coraz bardziej antysemityzmie, czy w dziennikach wileńskich znajdziemy chociaż trochę materiału, poświęconego życiu i potrzebom miejscowej ludności litewskiej i białoruskiej? Szał nacjonalistyczny przybiera taką postać, że pytanie „pokój, czy wojna” wydaje się być zwróconem nie tylko nazewnątrz, ale przede wszystkim do autochtonów.

O „zmarowanym dziedzictwie“ słów kilka.

W organie poznańskiej Akcji Katolickiej p. t. „Kultura” z dn. 6 czerwca r. b. zamieszczony został artykuł autorki znanego paszkwilu na Białorusinów p. t. „Truczny”, Anny Zahorskiej (Savitri), p. t. „Zmarowane dziedzictwo”. Artykuł ten przedrukował w obszernym streszczeniu „Kurjer Wileński”, gorąco polecając go uwadze swych czytelników i całkowicie z nim solidaryzując się. Artykuł traktuje o sprawie białoruskiej.

Przyzwyczajiliśmy się już do tego, że za umieszczenie rzeczowych, obiektywnych artykułów, obrazujących pracę kulturalną Białorusinów, czasopisma dość często ulegają konfiskacie. To też zjawienie się w „Kulturze” i „Kur. Wil.” — tym razem bezkarne — publikacji Zahorskiej zgóry wskazuje, że potraktowanie przez autorkę sprawy białoruskiej w zupełności odpowiada obecnemu nastawieniu władz administracyjnych. Mimo to, uważamy za swój obowiązek zabrać jeszcze raz w tej sprawie głos — tembardziej, że artykuł Zahorskiej zawiera zbyt wiele twierdzeń nieścisłych lub wręcz niezgodnych z prawdą, wskutek czego posłużą one niewątpliwie do wyrobienia mylnego poglądu społeczeństwa polskiego na problem białoruski i usposobienia tegoż społeczeństwa do Białorusinów conajmniej — nieprzychylnie.

Rażące błędy popełnia autorka przedewszystkiem w podawaniu i oświetlaniu faktów już historycznych, ujawniając jednocześnie brak należytego zrozumienia tak elementarnych pojęć, jak, na przykład, *kultura*. „Białoruś — mówi Zahorska na wstępie — wzięła kulturę z Kijowszczyzny, przepoiła cerkiewno-słowiańszczyznę miejscowem narzeczem i przytłumiła swoistą kulturę litewską, znacznie bardziej oryginalną i interesującą”. Otóż dziwnie się tu poplątały u autorki tak różne w istocie swej rzeczy, jak kultura i — język. Jest to naogół charakterystyczne dla umysłowości pewnej części inteligencji naszej, która uważa, iż przyswojenie sobie obcego języka, oznacza wynarodowienie *duchowe*. Białorusini istotnie wraz z chrześcijaństwem wzięli z Kijowa w X stuleciu język pisany cerkiewno-słowiański (starobułgarski), który z biegiem czasu wchłaniał elementy języka białoruskiego i wreszcie całkowicie musiał ustąpić miejsce ostatniemu. Ale nie znaczy to bynajmniej, że Białoruś „wzięła kulturę z Kijowszczyzny”, niby jakiś przedmiot materialny. Przecie cały „bagaż kulturalny”, wzięty z Kijowa razem z nową wiarą, ograniczał się do kilku ksiąg liturgicznych w języku starobułgarskim! Taka „kultura”, oczywiście, nie byłaby nigdy zdolna do „przytłumienia kultury litewskiej”.

Kultura — to całokształt wysiłków i osiągnięć twórczych ducha nasodu, i Białorusini jeszcze przed przyjęciem chrześcijaństwa — żyli życiem kulturalnem, mieli swoje grody, swoje prawodawstwo, zaczątki organizacji państwowej, prowadzili handel z innymi, często odległymi narodami (ze Wschodem, skąd pochodzą liczne przedmioty, znajdowane w kurhanach na Białorusi) i widocznie mieli coś nie coś do zbywania z wytworów własnej pracy. Niezbyt wiele, co prawda, o charakterze tej kultury w dobie przedchrześcijańskiej wiemy, lecz nie więcej wiemy i o kulturze litewskiej z okresu, poprzedzającego powstanie państwa litewsko-białoruskiego, więc i oceny obu kultur, danej przez Zahorską, przyjąć „na wiarę”

nie możemy. A czy dużo wiemy o kulturze polskiej w okresie równoległym?!

Wogóle, ze ścisłością historyczną autorką niewiele się liczy. Bo przecie nawet sztabakom wiadomo, że nietylko pierwsza redakcja Statutu Litewskiego, jak twierdzi Zahorska, ułożona była w XVI st. w języku białoruskim. Tyleż ścisłości zawiera i twierdzenie, iż „ostatnie akty urzędowe litewskie, pisane po białorusku, zawierają więcej polonizmów lub słów polskich od białoruskich”. Widocznem jest, iż autorka żadnego takiego aktu nie widziała i nie czytała, bo stopniowego przechodzenia od białoruszczyzny do polszczyzny w języku pisanym nie było; twierdzenie to zostało spreparowane tylko w tym celu, by dowieść i uzasadnić dalsze tezy.

W podobny bowiem sposób kreśli Zahorska i dalszy rozwój dziejów narodu białoruskiego. Żadnej własnej twórczości kulturalnej, nic swojego, — wszystko od kogoś zapożyczone. Głównie — od „barbarji wschodniej”. Dzięki wpływowi mowy polskiej na „prasłowiańskie narzecze Dryhwiczów, Krywiczów i Radzimiczów” Białoruś „coraz bardziej oddalała się od wschodniej barbarji”, „nabierała ogłady Zachodu, poznawała ostatnie wyniki nauki...”. O tem, że Białorusini w okresie przedzapoczątkowaniem polskich wpływów mieli bezpośredni żywy kontakt z Zachodem, że z Zachodu przybywali do kraju architekci, malarze (Salvator Rosa!) i inni artyści, że i Białoruś promieniowała kulturalnie na *pol-ski zachód* (słynne freski w kościołach Lublina, Sandomierza i w kaplicy jagiellońskiej na Wawelu malowali malarze białoruscy!), o tem autorka dyplomatycznie przemilcza. Czy to zła wola, czy rozbijająca ignorancja w dziedzinie historii kultury białoruskiej, trudno stwierdzić. Najprawdopodobniej — i jedno, i drugie.

Jeśli bardziej odległą przeszłość Białorusi rysuje Zahorska tak, jak gdyby odbiła się ona w krzywym zwierciadle, to z czasami nowszemi jest u autorki jeszcze gorzej. Oto kilka „kwiatków”, miarodajnych dla całości nakreślonego obrazu. Okazuje się, na przykład, że Jan Czeczott, współczesny Mickiewiczowi (zmarł w r. 1847), zajmuje u Zahorskiej w rzędzie pisarzy białoruskich o kulturze polskiej chronologicznie późniejsze miejsce, niż... Kalinowski, Dunin-Marcinkiewicz, Bohuszewicz i Niesłuchowski, którzy żyli i tworzyli w drugiej tylko połowie lub w końcu XIX st.

Dalej: poetka białoruska „Ciotka”, autorka wybitnie ludowo-narodowa, rzekomo pisała wiersze... „na sposób rosyjski” (!), a Janka Kupała i mieszkający obecnie w Wilnie Fr. Olechnowicz, ideolog *mieszczanstwa*, obaj tworzyli... dramaty „proletarjackie”. Kupała, jak Kupała: stale mieszka w Mińsku, więc imputowanie „proletarjackości” jego poezji nie może mu zaszkodzić, raczej mu pomoże... Ale Olechnowicz, były więzień sołowiecki, wykupiony przez rząd polski u Sowieców za cenę Taraszkiewicza, ten naprawdę może mieć urazę do Zahorskiej, która odważyła się pisać o literaturze białoruskiej, nie mając o niej najmniejszego pojęcia.

Ale dość tych „kwiatków”, w jakie obfituje cały artykuł Zahorskiej. Przejdźmy do głównej tezy autorki. Zahorska twierdzi, jak już widzieliśmy, że tylko przez język polski Białoruś zaczęła łączyć się z kul-

*) Że ówczesna nauka posługiwała się wyłącznie łaciną i to zarówno w Polsce, jak w całej prawie Europie, o tem autorka w zapale oratorskim zapomniiała, a może nie wie?..

tura Zachodu, i spolszczenie wyższych sfer białoruskich, które nastąpiło, jak wiadomo, w XVII st., nazywa cennem „dziedzictwem”. „Dziedzictwo” to białoruski ruch odrodzeniowy, obejmujący lud i z podłoża ludowego wyrastający, miał „zmarnować. Winna temu narodowo uświadomiona nowa inteligencja białoruska.

Zahorska dowodzi, iż odrodzeniowcy białoruscy — ci, co zbudzili masy białoruskie do świadomego życia narodowego, do tworzenia własnej kultury w języku białoruskim, do organizowania szkolnictwa białoruskiego, wyższych uczelni białoruskich, akademii umiejętności i t. p., ci, co rozwinęli wszystkie dziedziny twórczości artystycznej w białoruskim duchu narodowym, a wreszcie proklamowali *oderwanie* niepodległej Białorusi od Rosji, że oni to właśnie — „zmarnowali dziedzictwo Zachodu”, „sprzedali swoją łączność z Zachodem” Rosji... Głównym dowodem „oderwania się od Zachodu” ma być ta okoliczność, że Białorusini w dążeniu do rozwoju swej kultury chcą iść własną drogą i nie zgadzają się, by język polski był nadal pośrednikiem między nimi, a kulturą Zachodu. Nie zgadzają się również i na wyrzeczenie się swego odwiecznego pisma, tak zwanej „graždanki” na korzyść łacinki. Autorka wyraźnie zacieśnia przytem pojęcie kultury zachodniej do — kultury wyłącznie polskiej. Hasłem jej jest: niech Białorusini przejdą na pismo łacińskie, niech w ten sposób wyrzekną się całej drukowanej dotychczas „graždanką” twórczości w języku ojczystym i — niech jaknajprędzej przyjmą „kulturę Zachodu” w jej polskim aspekcie.

Krótko mówiąc: tylko polskość może przywrócić Białorusinom „zmarnowane dziedzictwo” zachodniej kultury i tylko polskość otworzy im ponadto podwoje, wiodące prosto do... Królestwa Niebieskiego! Autorka wypowiedziała się pod tym względem do końca.

Dziwić się można, że podobny artykuł, w dodatku utrzymany na niezwykle niskim poziomie publicystyczno-naukowym, wydrukowało czasopismo Akcji Katolickiej. Niestety, jest to zjawisko smutne, ale niewątpliwe, że wpływowe czynniki katolickie w Polsce nie chcą, by Białorusini nawiązywali łączność duchową z Zachodem, bo przecie władze kościelne udaremniły zapoczątkowaną przez Białorusinów-katolików organizację białoruskiej Akcji Katolickiej.

O jakiejś niechęci Białorusinów do kultury zachodniej zarówno w przeszłości (Skoryna!), jak i czasach najnowszych, oczywiście, nie może być żadnej mowy. Przecie cała dawna kultura i sztuka białoruska przedstawiała właśnie przedziwną *syntezę elementów zasadniczych kultury bizantyjskiej i łacińskiej* — na narodowym podłożu białoruskim. Są to rzeczy notorycznie znane.

To też dla uzasadnienia swej niezgodnej z prawdą tezy nie waha się Zahorska wytoczyć takiego „argumentu”, jak całkiem nieprawdziwe twierdzenie, że białoruskie gimnazja w Polsce (obecnie niemal całkowicie zlikwidowane) używały podręczników rosyjskich, co wobec istnienia podręczników białoruskich było wprost zbędne. W tym też celu mówi ona o rzekomym braku nauczycieli-Białorusinów, chociaż, na przykład, już w okresie „Litwy Środkowej” przeszło dwustu takich nauczycieli władze szkolne zabrały ze szkół białoruskich — rzekomo dla „doksztalcenia” na specjalnych kursach w Krakowie, nauczyły ich po polsku i zatrudniły w szkołach rdzennej Polski, nie

puszczając zpowrotem do dawnych ich szkół w kraju ojczystym...

Ta gruba tendencyjność, to zniekształcenie istotnego obrazu pracy Białorusinów nad tworzeniem własnej kultury narodowej oraz ich dążeń politycznych, przypomina pewien fakt z okresu, kiedy wojska polskie zajmowały dzisiejszą stolicę Białorusi Sowieckiej — Mińsk. W październiku r. 1919 ówczesny Naczelnik Państwa i wódz naczelny Józef Piłsudski wydał dekret o formowaniu białoruskich oddziałów wojskowych, które miały łącznie z armją polską walczyć z Sowietami o całą Białoruś. W Mińsku na podstawie tego dekretu powołana została do życia Białoruska Komisja Wojskowa, złożona z wojskowych Białorusinów oraz działaczy społecznych (Prószczyński, Aleksiuś i in.), którzy w ten sposób dali chyba wymowny dowód, że chcą się oprzeć o Zachód (i to zachód polski!) w przeciwieństwie do rosyjskiego Wschodu. Otóż w chwili, kiedy komisja ta przystąpiła do pracy — w imieniu komisarza Ziemi Mińskiej został rozesłany władzom powiatowym poufny okólnik, podpisany przez *męża* p. Zahorskiej, bardzo nieprzychylnie traktujący rozpoczętą akcję... Świadczy to wymownie, że i obecne wystąpienie Anny Zahorskiej przeciwko Białorusinom, popierane przez redakcję „Kultury” Akcji Katolickiej i „Kurjera Wileńskiego”, bierze natchnienie z tego samego źródła.

Nie trudno się domyślić, z jakiego to źródła małżeństwo to czerpie natchnienie do swych wrogich wystąpień przeciwko narodowemu ruchowi białoruskiemu.

H. B.

Jak wiadomo, kuratorjum wileńskie w końcu ubiegłego roku zawiadomiło zarząd święciańskiego T-wa „Rytas”, że po ukończeniu roku szkolnego 1936-37 gimnazjum litewskie w Święcianach zostanie zamknięte.

W związku z tem zarząd Święciańskiego T-wa „Rytas” odwołał się do Ministerstwa W. R. i O. P. w Warszawie; apelacja ta jednak pozostała bez skutku, gdyż w czerwcu Ministerstwo udzieliło odpowiedzi odmownej, zatwierdzając zarządzenie kuratora wileńskiego. Od jesieni więc gimnazjum litewskie w Święcianach przestanie istnieć.

Sytuacja gimnazjum litewskiego im. Witolda Wielkiego w Wilnie natomiast nie jest dość wyraźna. O zamknięciu jego, jak dotąd, niema wprawdzie mowy, ale wśród ogłoszonych niedawno średnich zakładów naukowych w Wilnie, korzystających z pełni praw, nie jest wymienione gimnazjum litewskie. Jaki więc los je czeka w nowym roku szkolnym — narazie niewiadomo.

Oby ciężki cios, jaki spadł na szkolnictwo litewskie w Wileńszczyźnie nie odbił się fatalnie na sytuacji gimnazjów polskich w Kownie i Poniewieżu.

Znamienne wizyty.

W czerwcu państwa nadbałtyckie odwiedzili dwaj mężowie stanu z północy: szwedzki minister spraw zagranicznych Sandler oraz angielski wiceminister Plymouth. Wizytom ich w Litwie poświęca „Liet. Aidas” obszernie artykuły, które w streszczeniu „Biuletynu Kowieńskiego” podajemy poniżej.

„Z okazji wizyty szwedzkiego ministra spraw zagranicznych Sandlera i towarzyszących mu osób przypomnieć należy, iż Szwecja jest jednym z tych państw, z którymi Litwa posiada niezmacone żadnymi niepo-

rozumieniami stosunki od pierwszych lat niepodległości. Serdeczne stosunki przyjaźni, jakie się nawiązały pomiędzy Szwecją a Litwą, z biegiem czasu wzmacniały się i rozwijały, obejmując dziedzinę gospodarczą, kulturalną i polityczną. Nie znajdzie się dziś w Litwie ani jeden poważniejszy rolnik, któryby nie zapożyczył czegoś dobrego ze Szwecji. Wysoką kulturę szwedzką oddawna już bierze się za przykład również w innych warstwach ludności Litwy. Corocznie odwiedzają Szwecję liczne wycieczki z Litwy. Podobnie Szwedzi zainteresowali się postępowym kulturalnym Republiki Litewskiej i chętnie odwiedzają Litwę w celach poznania tego kraju. Uczni i artyści obu krajów dokonali już wielkiej pracy zbliżenia narodów: szwedzkiego i litewskiego.

Bałtyk nie dzieli tych narodów, lecz je łączy. Świadczy o tym symbolicznie również okoliczność, że dostoyny gość szwedzki przybywa do Litwy tą historyczną drogą morską, z której Szwedzi długie stulecia korzystali dla komunikacji z Litwą. Okoliczność ta powinna symbolicznie wyrażać wspólnotę interesów obu krajów, wynikającą z geograficznego ich położenia. Od czasu, gdy państwa skandynawskie i bałtyckie zaczęto nazywać państwami północnymi, staje się coraz aktualniejsza myśl o bliższym kontakcie między krajami, których brzegi obmywa morze Bałtyckie. Niebezpieczeństwo rozbicia Europy na przeciwnie sobie bloki daje tej myśli nowe podstawy. W osobie ministra Sandlera witają Litwini politykę, która podnosi konieczność współpracy mniejszych państw, dla uchronienia się przed wpływem tworzących się obecnie w Europie osi politycznych. Pod tym względem idee Sandlera powinnyby znaleźć żywe echo wszędzie, gdzie tylko szczerze chodzi o utrzymanie pokoju. Mniejsze państwa są szczególnie zainteresowane w utrzymaniu pokoju, gdyż jest on zarazem gwarancją ich niepodległości. Tak więc w krajach Bałtyckich Sandler niewątpliwie ma zwolenników, którzy spodziewają się ściślejszej współpracy między państwami skandynawskimi i bałtyckimi.

Pozostawiając na przyszłość plany, jakie wysunąć mogą i wysuwają warunki obecnego życia politycznego, dostatecznie mocną podstawą współpracy między Litwą a Szwecją jest fakt, że oba państwa są członkami Ligi Narodów i opierają swą politykę na dążeniach pokojowych. Dzisiaj świat coraz częściej styka się z upiorem wojny i coraz częściej istnieje niebezpieczeństwo, że rzucona gdzieś nieostrożnie iskra zapali nowy światowy pożar. W takich warunkach wszyscy zwolennicy pokoju winni podwójnie czuwać, by wspólnymi siłami usunąć grożące niebezpieczeństwo. Jest to wielkie zadanie międzynarodowej współpracy i stosunków”.

Niemniej cieszy się „Liet. Aidas”, że Litwa może okazać swą gościnność lordowi Plymouthowi.

„Z Wielkobrytanią łączy Litwę szersze stosunki przyjaźni od pierwszych lat niepodległości. Anglja spotkała przychylnie wysiłki narodu litewskiego w kierunku odbudowy życia samodzielnego. Litwini nigdy nie zapomną pomocy, jakiej doczekali ze strony Anglii w swych narodowych wysiłkach po wojnie światowej. Pomoc ta znacznie ułatwiła Litwinom zwycięstwo w walce o niepodległość. Późniejsza historia narodu i państwa litewskiego ma również sporo kart, gdzie wpisane zostały zaszczytnie nazwiska angielskich polityków i działaczy społecznych. Jako przykład wymienić tu można granicę litewsko-łotewską, która została ustalona przez sąd polubowny, którego przewodniczącym był Anglik profesor Simpson. Dalej linia

demarkacyjna, ustalona między Polską, a Litwą w 1919 roku nosi miano lorda Curzona. Poza to angielscy przedstawiciele w Radzie Ligi Narodów niejednokrotnie wypowiedzieli swe ważne słowo w kwestiach dotyczących kraju litewskiego. Przekazanie suwerenności Litwie na obszarze Kłajpedy również związane jest z uczestnictwem Wielkobrytanji, która podpisała odnośną konwencję. Jako jedno z państw, którym wypadło decydować w polityce powojennej Europy, Wielkobrytanja w wielu wypadkach miała decydujący wpływ, przy rozważaniu doniosłych spraw litewskiej polityki zagranicznej zarówno w Lidze Narodów, jak też w innych instancjach międzynarodowych. Dzisiaj Litwini z zadowoleniem i wdzięcznością mogą przypomnieć, że stanowisko Wielkobrytanji w tych wypadkach opierało się zwykle na prawie i sprawiedliwości; było też w tym sensie dla Litwy przychylnie.

Oceniając dzisiejsze stosunki z Wielkobrytanią, można się cieszyć z ich szczerzej przyjaźni. Podstawą polityki brytyjskiej są dążenia pokojowe, jak to już wielokrotnie oświadczyli angielscy mężowie stanu. Wielkobrytanja przestrzega tu zasady niepodzielnego pokoju i zbiorowego bezpieczeństwa, które wynikają z paktu Ligi Narodów. Jest to zaś najważniejszą wytyczną litewskiej polityki zagranicznej. W związku z tym stosunkiem, między obu krajami panuje wzajemne zaufanie, które pozwala stosunkom tym krzepnąć i rozwijać się.

Szczególnie daje się zauważyć rozwój stosunków gospodarczych między obu krajami. Od czasu gdy jesienią 1934 r. nabrał mocy normalny układ handlowy Litwy z Anglią, litewski handel z Wielkobrytanią zwiększył się kilkakrotnie. Dzisiaj Wielkobrytanja zajęła już w litewskim handlu zagranicznym pierwsze miejsce. Należy oczekiwać, że gospodarcze stosunki między obu krajami rozwijać się będą nadal, tworząc jeszcze jaśniejsze perspektywy dla ich współpracy.

Nie należy wątpić, że wizyta angielskiego vice, ministra spraw zagranicznych w Litwie stanowić będzie nowy bodziec w zbliżeniu Litwy z Wielkobrytanią”.

Słuszną czynią uwagę „Liet. Žinios”, że „w niespokojnym burzliwym morzu politycznym Europy wzrok pokojowo usposobionych ludzi kieruje się często na północ ku Anglii i państwom skandynawskim”. Nic też dziwnego, że Litwini, którzy niewątpliwie zaliczają siebie do narodów pokojowych, siłą rzeczy od czuwają żywą sympatię do sąsiadów północnych. Obaj dostoynicy przeto byli podejmowani w Kownie niemal owacyjnie.

Tempora mutantur...

Prasa codzienna sygnalizowała już zgon śp. ks. prałata Józefa Zelby. Zmarł w Pińsku w dn. 1 czerwca r. b.—na aneuryzm serca.

Czytaliśmy napisany w duchu ultra narodowym nekrolog zmarłego kapłana w „Słowie” wileńskim. Zbudziło to w mojej pamięci pewne reminiscencje, stwierdzające, iż były czasy, kiedy ks. Zelba ujawniał odmienną ideologję. Ideały — w dzisiejszych czasach nieprawdopodobne—białoruskie!

Było to w latach 1908—9. Ks. Zelba mieszkał podówczas w Mińsku, o kilka kilometrów od miasta przy kościele w Kalwarji, na mogilkach, gdzie miń-

szczenie grzebali swych zmarłych, omijając położone o wiele bliżej—w samym mieście—mogiły na Złotej Górze, niemiłe dla społeczeństwa miejscowego ze względu na osobę rezydującego tam księdza-rytualisty Makarewicza.

W okresie tym wśród działaczy białoruskich była nader popularna idea połączenia obu odłamów ludności białoruskiej, katolików i prawosławnych, w jednym kościele unickim. Unja religijna w ujęciu odrodzeniowców białoruskich miała posiadać charakter białoruskiego wyznania narodowego. Miała też ona uniezależnić ludność białoruską od wpływów zarówno rusyfikacyjnych, jak i polonizacyjnych. Już od roku 1905 w sprawie tej nawiązał rozmowy z metropolitą unickim Andrzejem Szeptyckim we Lwowie główny promotor jej—Jan Łuckiewicz.

Znaleźli się i księża rzymsko-katolicy, którzy gorąco sprawę tę wzięli do serca. Wśród nich właśnie do najwybitniejszych zaliczyć należy dwóch: ś. p. ks. Wincentego Harasimowicza z Klecka, późniejszego zesłańca do Kiegiostrowa (nad Białem morzem), oraz świeżo zmarłego—ks. Józefa Zelbę. Pierwszy z zesłania nadsyłał nader ciekawe i treściwe listy do „Naszej Niwy” w dobrej mowie białoruskiej (jeden taki list znajduje się w archiwum Muzeum Białoruskiego w Wilnie); drugiego poznałem w lokalu redakcji wymienionego czasopisma białoruskiego, gdzie zatrzymywał się, przyjeżdżając do Wilna.

Akcja unijna zaprojektowana była w sposób następujący. Ponieważ rząd Stołypina, dopuszczając istnienie kaplicy unickiej przy ul. Połozowej w Petersburgu (ś. p. o. Zierczaninow) nie chciał pod żadnym warunkiem zgodzić się na pracę unijną wśród ludu białoruskiego, inicjatorzy akcji umyślili *przemycić* unję w granice państwa rosyjskiego—na Białoruś.

Rozpoczęto starania o otrzymanie od rządu zezwolenia na osiadanie w granicach Rosji bezrolnych i małorolnych Ukraińców—ze słynnej swą nędzą materjalną Galicji. Upatrzono obiekt do parcelacji—duże dobra ziemskie Józefa hr. Tyszkiewicza Dziedziłowicze w pow. Borysowskim (12 i pół tysięcy dziesięcin), które właściciel, zamieszkujący stale w Monachjum, chętnie zgadzał się dla tego celu sprzedać na nader dogodnych warunkach. Tu część ziemi miano rozparcelować wśród grupy emigrantów z Galicji—unitów, i w ten sposób *ipso facto* powstałaby pierwsza parafia unicka na prowincji—ośrodek dalszej akcji, z którego idea unijna poszłaby bezpośrednio do białoruskich warstw ludowych. Akcję parcelacyjną winno być prowadzić zorganizowane *ad hoc* towarzystwo akcyjne, którego obligacje miały zgóry zabezpieczony zbył w Paryżu.

Sprawa ta jednak rozbiła się na wstępie. Podobno odegrała tu rolę intryga pewnego ziemianina, który sam reflektował na kupno Dziedziłowicz. Ktoś wykrył władzom istotny charakter akcji i Stołypin stanowczo odmówił zatwierdzenia spółki parcelacyjnej i dopuszczenia emigrantów z Galicji—unitów—do Rosji. Nie pomógł tu nic nawet osobisty—wielce na owe czasy ryzykowny—przyjazd (incognito) metropolity Szeptyckiego, który odwiedził Wilno, Mińsk, Słuczczynę, Smoleńsk i in., a potem Moskwę i Petersburg, występując pod nazwiskiem członka parlamentu wiedeńskiego dr. Oleśnickiego.

W tym to okresie różowych nadziei wyznaczono już osobę ks. Wincentego Harasimowicza na stanowisko przyszłego pierwszego biskupa unickiego w Rosji, jako Białorusina. W tym też czasie dużą aktywność ujawniał i ks. Zelba, który również zaznaczał wtedy

otwarcie swoją białoruskość, kontaktował z działaczami białoruskimi, korespondował w sprawie akcji unijnej z metropolitą Szeptyckim i jeździł przed wojną do Welehradu na kongresy unijne.

Gdy jednak sprawa ta upadła, zarówno ks. Harasimowicz, jak i ks. Zelba, rozczarowani bolesną porażką, zaczęli się od pracy białoruskiej odsuwać i wreszcie—po powstaniu państwa polskiego—stracili bliższy kontakt zarówno z ruchem białoruskim, jak i jego kierownikami, zachowując tylko z nimi dobre stosunki towarzyskie.

I tu ziściła się jeszcze raz wieczna prawda, zawarta w znanej sentencji łacińskiej o zmienności świata i w zależności odeń ludzi...

A. Ł.

D. 15 b. m. zmarł w Kownie ś. p. Józef Kairuksztis w sędziwym wieku, urodził się bowiem w r. 1855 (w Suwalszczyźnie). Będąc z zawodu nauczycielem spędził większą część życia w Królestwie Polskim. Jako emeryt osiadł w r. 1910 w Wilnie, gdzie brał gorliwy udział w litewskiej pracy oświatowej. Za czasów okupacji niemieckiej przebywał w głębi Rosji, w r. 1918 zaś powrócił do Wilna, gdzie niebawem objął stanowisko dyrektora litewskiego seminarjum nauczycielskiego, które piastował do r. 1926, niemal do czasu jego zamknięcia. Dziesięć lat następnych spędził również w Wilnie i dopiero parę ostatnich lat przebywał głównie w Kownie wśród swych synów i córek. Poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance, gdyż życiorys dokładny zasłużonego pedagoga litewskiego zamieściliśmy w Nr 6 „Przeгляdu Wileńskiego” z dn. 22 marca 1926 r.

FELJETON

Pomnik.

Przyszedł Wielki Poeta... Sto lat mijało, jak Zakon Krzyżowy we krwi... t. j. bardzo przepraszam, zapędziłem się... — jak wdzięczna potomność strofami Mistrza się zachwyca.

Wdzięczna potomność!... Trza wszak uczcić Wieszcza, z granitu pomnik Mu postawić, a może lepiej z brązu, by go pigmeje mogli snadniej odbronzować. Tak czy inaczej, pomnik stanąć musi—wyniosły, potężny.

Winien odpowiadać ogromem uczuć ludzi, którzy go wznieść pragną.

Co do samej idei nie było sprzeciwu, powołano komitet, pieniądze zebrano, konkurs ogłoszono, wybór zatwierdzono i miejsce pod pomnik również ustalono.

Wszystko, zda się, idzie pięknie, celowo i gładko, tyko pomnika dotąd niema ani ducha, niewiadomo nawet, gdzie ten pomnik stanie i czy stanie—też pewności niema.

Czemu to zwlekanie? Kwestja bardzo prosta. Nie wszystkim się podoba i pomnik i miejsce. Poszły rozhowy: postać winna być w surducie, a może w marynarce albo też w żakiecie. A poco ten Światowid, czy nie lepszy Perun? ...Lelum Polelum lub Świstum Poświstum?... Przeróżne zdania na ten temat słycać, lecz się ten nie zrodził, ktoby wszystkim dogodził.

Takaż sprawa z miejscem. Nie chcą się pogodzić—architekt z urbanistą, malarz z fotografem, laik

z romanistą, rzeźbiarz z geografem. Niewiadomo, co lepsze — czy plac Orzeszkowej, czy Cielećnik, czy plac Ratuszowy, czy Łukiszki, czy Śnipiszki, czy może Kuczuryszki.

Lat dziesięć minęło, pomnika nie widać. Nie widać miejsca, na którym ma stanąć. Lecz za to widać, moi cni panowie. Jak niedołączne są te mózgi, dłonie, co sprawę wielką mają w swej opiece.

Lat dziesięć minęło... Sypią się protesty, każdy swe trzy grosze wsuwa w ten bałagan, aż w tej skarbonce rad, pomysłów, planów — powstanie kapitał — trzygroszniaków kupa.

Nie ten tu jest winny, co projekt przedstawił i pomnik wykonał i miejsce upatrzył, lecz wszyscy dzisiejsi rajce, ujadacze, z których każdy ciągnie, jeden do Sasa, drugi zaś do lasa. Stworzyli anarchję poglądów i planów, jarmark projektów i harmider krytyk, gdakają nam dzisiaj, co wyrażać mogli lat temu dziesięć, a nawet piętnaście.

Gdzieście mieli uszy, języki i ślinę, by bronić swych gustów — był przecież czas na to — wy jednak wolicie obrzydzać nam teraz myśl o pomniku, który gdzieś ma stanąć.

Jakież to typowe, jakie istic polskie, gdzie są trzy głowy — tam cztery rozumy i siedem opinii. Próbuje wybrnąć z tego, opisz to wszystko, a wyjdzie... feljeton.

Bolesław Szyszkowski

Władyka Joachim.

W dobie nieustannych a niewybrednych ataków prasowych i ustnych mocno zrusyfikowanej u nas Cerkwi prawosławnej na wszystko, co choć czemkolwiek może przypominać Unję, można dziś ustalić niezbitie, że ta ostatnia nie była snąc tak już złą radykalnie, skoro najbardziej *prawosławna* ludność, wraz z klerem i to w takim ośrodku jak Żyrowice, oddaje, od przeszło prawie wieków po dziś dzień, cześć nienaruszonym zwłokom właśnie *gr. katolickiego* biskupa pińskiego i turowskiego Joachima Ciechanowieckiego (*alias* Ciechanowicza), jaki zmarł *in odore sanctitatis* w Pińsku 4.IV. 1719 i został zgodnie z wolą swoją, jako *bazylijanin* pochowany we wspólnym grobie klasztornym w Żyrowicach.

Osobliwością tego kultu jest, że ani autor (archi-rej Paisjusz?) ostatniej broszury o cudownym obrazie M. B. Żyrowickiej i klasztorze tamecznym, ani kaznodzieje żyrowiccy nie wspominają nigdy ani słowem, że świątobliwy władyka Joachim był *najprawowierniejszym gr.-katolickim biskupem*. Wprawdzie powołują się czasem na klasycznego w tej dziedzinie autora Stebelskiego, lecz nie wymieniają nawet nazwiska biskupa Joachima, by oddalić jak najbardziej od prawosławnego laika wszelką pokusę zainteresowania się samym przedmiotem kultu. Wygląda to tak, jakby wszyscy oni chcieli powiedzieć do tłumnie garnących się do Żyrowic Białorusinów prawosławnych: pozwalamy wam tylko tutaj modlić się do *światłitiela Bożago* Joachima, żadną jednak miarą nie wolno wam wiedzieć ani kim on był, ani co wyznawał, ani co czuł i kochał, ani gdzie i jak pracował... To wszystko od *łukawago*, a więc — *nie razużdaj* i basta.

Otóż pewien turysta krajowiec w r. 1936 zwiędzał dokładnie Żyrowice i właśnie dokonał *po raz*

pierwszy szeregu udatnych zdjęć zwłok władyki Joachima, które stanowią, obok słów Stebelskiego, nieodparty dowód graficzny, że w grobowcu największej w Żyrowicach cerkwi Uspienija mamy przed sobą zwłoki gr.-kat. pasterza diecezji pińskiej i turowskiej.

Władyka Joachim, jak wspomina Stebelski, odznaczał się wielką bogobożnością i świętością życia. Biskupem był tylko trzy i pół lata, umiał jednak pozyskać pracą swego życia opinię świętości u Boga i ludzi. Nie będziemy tu, oczywiście, rejestrowali i rozważali wszystkich fenomenów nadprzyrodzonych, jakie tę opinię potwierdziły i ugruntowały, nie możemy atoli pominąć, że gdy po pewnym czasie grób jego odkopano i trumnę otworzono, oczom obecnych przedstawił się widok uderzający: ciało władyki Joachima okazało się niepodległym procesowi rozkładu, co wprawdzie nie jest jeszcze równoznaczne z ustaleniem świętości, upoważnia jednak Kościół do zajęcia się sprawą bliżej.

„Od głównego wejścia do soboru Uspienskiego w Żyrowicach, wewnątrz z prawej strony, znajduje się stara kapliczka, w której pod chórem w sklepie umieszczone są zwłoki władyki Joachima. Trudno powiedzieć, czy ulokowali go tam bazylijanie, czy też prawosławni. W monasterze żyrowickim utrzymuje się podanie, że dokonali tego prawosławni przed laty osiemdziesięciu siedmiu, gdy oczyszczano sklepy pod cerkwią ze szczątków pogrzebanych tam zakonników (oo. Bazylijanów) i świeckich. Znalezione w stanie nienaruszonym zwłoki gr.-kat. biskupa Joachima przeniesiono wtedy do cerkwi Uspienija. Ciekawe jest, że po biskupie gr.-katolickim odprawiane są dotychczas przez prawosławnych, z pominięciem zakazów kanonicznych, panichidy co rok 4 kwietnia (dzień zgonu biskupa) i 9 września (dzień imienin). W jakim celu to się robi? Nie chce się wierzyć, by decydowały o tem wyłącznie momenty utylitarne.

„Zwłoki mają barwę ciemnego wosku. Proces mumifikacji ich naprawdę jest ciekawy. O ile udało mi się ustalić przez badanie bezpośrednie, czas uszkodził je nieznacznie. Nogi są wyschnięte, jednak pod ręką odczuwają się skamieniałe ścięgna i łydki, których grubość mniej więcej odpowiada przegubowi ręki przeciętnego człowieka. Brzuch nawet pod lekkim uderzeniem palca wydaje echo. Czy zwłoki były balsamowane, nie potrafię z całą pewnością ustalić, zdaje się, że raczej nie. By kategorięcznie odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym zbadać jamę brzuszną, czego nie chciałem przez szacunek dla zmarłego czynić, na poczekaniu, tem bardziej że wypadłoby rozcinać szaty biskupie. Głowa nie jest spojona z tułowiem, co miało nastąpić już czasu okupacji niemieckiej, gdy Niemcy myszkowali w cerkwiach żyrowickich. Skóra na głowie zachowała się tylko w kilku miejscach, natomiast twarz, uszy, szyja i in. części głowy są w stanie dobrym. Oczywiście, w nosie wykruszyły się, jak zwykle bywa, brzegi nozdrzy. Oczy zachowały cały podkład gałki ocznej, nawet z jej śladami. Usta wyschły, obnażając świetnie zachowane b. zdrowe zęby. Zachowały się zgrubienia warg, nawet z lekkawym odcieniem karminu. Szyja wygląda tak, że mogłaby nadawać się, przynajmniej z grubsza, do nauki anatomji. Wewnątrz czaszki zachowały się nawet resztki błon mózgowych.

„Nie biorę się sądzić: jest to zjawisko przyrodzone czy nadprzyrodzone?”

Oby wspólny kult świątobliwego pasterza Cerkwi gr.-kat. był czynnikiem jedności dla obu odła-

mów ludności białoruskiej. Droga jednak ku temu wiedzy nie przez zamilczanie przed ludem prawdy dziejowej, chociażby wydawała się dziś ona krótko-wzrocznym niemłą, lecz przez uczciwe informowanie, jak było i jest istotnie.

Ad. Sołoduch*).

Bibliografia.

Gizbert Studnicki Waclaw. *Kościół ewangelicko reformowany w Wilnie.* Wilno 1935.

Niestrudzony badacz przeszłości wyznania kalwińskiego na ziemiach b. W. Ks. Lit., Waclaw Gizbert Studnicki napisał, ku uczczeniu stulecia obecnego zboru reformowanego w Wilnie, zarys historyczny dziejów kościoła kalwińskiego u nas, podając jednocześnie genezę jego organizacji i losy jego świątyń. Mając pod ręką bogate archiwum zborowe i wyniki kilkakrotnych poszukiwań archiwalnych w ośrodkach kalwinizmu na Zachodzie, autor dał tu rzecz krótką, lecz źródłową.

Nie znaczy to jednak, by cała spuścizna archiwalna wyznania kalwińskiego u nas, tak w Wilnie, jak na t. zw. Litwie Kowieńskiej, była już bez reszty naukowo zbadana i opracowana. Ciekawe np. będą wyniki, do jakich dojdą badacze przeszłości kalwińskiej w Republice Litewskiej i na Białorusi, gdy sięgną do najgłębszych złóż archiwów i bibliotek tamecznych. Tylko wtedy będzie można określić, w jakim stopniu *Jednota Litewska* była nasycona duchem kultury polskiej, a w jakim znowu służyła potrzebom ludności litewskiej i białoruskiej. Dziś zaledwie można tu wypowiedzieć mniej lub więcej uzasadnione przypuszczenia.

Obowiązkiem sprawozdawcy jest zaznaczyć, że Studnicki usiłuje w swej broszurze nie być zaborczym i spokojnie mówi o wiekowych kontaktach „Jednoty Litewskiej” z ludnością litewską i białoruską. Wyraziły się one w tem, że *Jednota* stale uwzględniał potrzeby narodowe Litwinów, dbając o litewskie kazania, książki religijne..., natomiast inny był jej stosunek do potrzeb Białorusinów. „Książki treści religijnej nie tłumaczono dla potrzeb Jednoty na język białoruski, gdyż używającym jego łatwo (?) był zrozumiały pokrewny język polski”. Wobec powyższego nie da się zaprzeczyć, że „*Jednota*” była u nas jednym z czynników polonizacyjnych, jeśli nie zawsze, to od dawien dawna.

Z wyjątkiem Wilna, dziś nigdzie już nie słychać, by kalwini występowali agresywnie przeciw katolikom, a kalwińska (do pewnego stopnia) Holandia składa raz po raz swe rządy w ręce utworzonych przez katolików gabinetów ministerjalnych. Owszem po rozwiązaniu centrum katolickiego w Niemczech, stan katolicyzmu w Holandji jest powszechnie uznany za tak kwitnący a wzorowy, że utarło się już w prasie katolickiej powiedzenie: *Batavia docet* (Holandia poucza).

Lecz nie byłby Studnicki sobą, jeśliby nie ujął swego temperamentu, gdy omawia z jednej strony niedopuszczenie przez jezuitów powstania w Wilnie w w. XVI akademii protestanckiej a z drugiej niedość szeroko zakrojony program nauk wileńskie-
j

akademii jezuickiej. Polemizowano jednak na ten temat ze Studnickim już w ostatnim „Ateneum Wileńskim”; co zwalnia nas zupełnie od obowiązku przytaczania tu argumentów przeciw wywodom polemisty kalwińskiego. Zresztą niema dziś wśród orjentujących się katolików nikogo, któryby pochwałę burdy uczniów jezuickich w ww. XVI i XVII przeciw dysydemtom. W liczbie ofiarodawców na wileński zbor kalwiński był też metropolita rz. kat. St. Sistrzeńcewicz, którego łączyły z kalwinami bliskie związki rodzinne. Obecny zbor kalwiński, który przed laty paru odświęcił swój jubileusz stułetni, jest ich *dziewiątą* kolejno świątynią, wzniesioną w ciągu czterech wieków w Wilnie.

Treść książki ożywiają graficzne podobizny zborowych kaplic i domów w Wilnie, kilka znowu aneksów uzasadnia wywody autora.

Wielka szkoda, że Studnicki, który ma naogół o przeszłości Wilna tyle do powiedzenia, tak rzadko zabiera głos. Cieszymy się więc z jego zapowiedzi, że przygotowuje obecnie specjalną pracę o budowie i przebudowie dzisiejszej plebanji kalwińskiej w Wilnie, będącej dziełem architekta Fraesera.

Sonderling.

Łopaciński Wincenty. *Akta Rz.-Kat. Kolegium Duchownego w Petersburgu, dotyczące spraw unickich.* Warszawa 1936.

Wybitny badacz naszych materiałów archiwalnych w Warszawie, Wincenty Łopaciński ogłosił w r. ub. na szpaltach czasopisma „Archeion” sumaryczny a syntetyczny rzut oka na zbadane przezeń w latach ostatnich akta unickie w archiwum Rz.-Kat. Kolegium Duchownego w Petersburgu. Wysłył potem w osobnej odbitce. Przygotowaniem, a może i bodźcem do tej pracy były badania w temże archiwum aktów, dotyczących powstania listopadowego, jakie czynione były tam z ramienia Delegacji Polskiej w Leningradzie w r. 1931 i następnych. Jak się okazało, akta gr.-katolickie z tego archiwum trafiły jakąś drogą do b. Archiwum Synodu, skąd ekspertyza sowiecka wobec niezbitych dowodów musiała je wydobyć do przejrzania.

Jak wiadomo, Rz.-kat. Kolegium Duchowne składało się z dwóch departamentów stosownie do dwóch obrządków: łacińskiego i greckiego. Grupa aktów unickich obejmuje 1167 pozycji i woluminów, gdyż wszystkie pozycje są jednowoluminowe. Braki tu są stosunkowo niewielkie. Akta te dotyczą spraw małżeńskich (m. in. separacje duchownych unickich z ich żonami), spraw dotyczących oświaty i instytucji oświatowych (m. i sporo o Seminarjum Głównem w Wilnie, Uniwersytecie Wileńskim, o władcy brzeskim Bułhaku), spraw majątkowych (fundusze, darowizny, świadczenia i in.) kasaty lub zaboru cerkwi i klasztorów unickich, represji i zatargów na tle różnowierstwa, hierarchji kościelnej (sprawy personalne), spraw obyczajowych (m. in. sprawy zakonu bazylijskiego, a wśród nich *curiosum*: zapytanie Departamentu Wyznań obcych, czy bazylijanom wolno pić piwo, z odpowiedzią Kolegium, że nie jest wzbronione), spraw o charakterze administracyjnym, szeregu pozycji związanych z ówczesnymi wydarzeniami wojenno-politycznymi...

Łopaciński nie poprzestaje na suchej rejestracji materiału przejrzanego, lecz wylawia też zeń ciekawsze szczegóły z życia metropolitów Siemaszki, Sistrzeńcewicza (ustala datę śmierci tego: 1. XII. st. st. 1826)..., z walk między bazylijanami a klerem unickim... O ile

* Autor jest w posiadaniu zdjęć trumny i samych zwłok władcy Joachima.

w „posłużnych spiskach” bazylianów wszędzie figuruje na początku w XIX „iz polskiej familii”, o tyle w takichże duchowieństwa świeckiego — „iz bieloruskich dworian”. Skażanie polszczyzny w aktach ówczesnych nieraz było potworne, np. *postanowienie oprzeździelić z diecezji wileńskiej czlena dla zasiadania w Kollegiji*, zato styl listów pełen uniżoności i kwiecistości.

Kończąc swą cenną rozprawę, Łopaciński trafnie zauważa: „Dziś zagadnienie Unji stało się znów aktualne, a zatem równie aktualne stało się gruntowne, wyczerpujące, a beznamietne opracowanie dziejów tego zagadnienia”. Mylnie jednak zalicza do pracowników na tem polu również... Wiktora Piotrowicza, który dał się tu poznać tylko jako „robotnik” sezonowy...

Francuskie *resumé* kończy odbitkę.

Vigilans

Ein Ghetto im Osten (Wilna). Zürich und. Leipzig. Bez daty. Z ilustr.

Przedhitlerowskie Niemcy żywo się interesowały krajami, z którymi zawarły bliższą znajomość od czasu wojny światowej. Z ducha tych zainteresowań powstała niniejsza książeczka—albumik z wyjaśniającym tekstem S. Chnéour'a i 65 fotografiami M. Worobejczyka. Jest to może pierwsza publikacja, zaznajamiająca czytelników niemieckich z tak typowym a charakterystycznym ghetto wileńskim.

Autor tekstu ma głęboki sentyment dla Wilna, i boleje nad tem, że świat żydowski mimo całego tradycyjnego rozgłosu dokoła Wilna, nie zna go jeszcze dostatecznie i że np. bez porównania mniej ciekawy Witebsk na płótnach Marka Chagall'a zachwycał niedawno swym egzotykiem i poezją barw Paryż i Berlin. Otóż zanim Wilno nie znajdzie swego Marka Chagalla, serja udatnych zdjęć fotograficznych, reprodukcji nam dobrze podpatrzone fragmenty murów ghetta wileńskiego i pyszne typy jego mieszkańców musi narazie wystarczyć

Na tych zdjęciach widzimy kolejno różne partie starej synagogi przy ul. Żydowskiej, stary otaczający *szulhoff* (szkolny dwór) ze swoistem życiem, szkołę zw. Bedhamidasch, zewnętrznym widok szkoły znakomitego Gaona wileńskiego, słynną bibliotekę Straszuna z widokiem na tysiące oprawnych tomów zawartej w niej mądrości talmudycznej, ciekawą zabytkowo synagogę „Jeszod”, niezrównaną ruderę na dworze domu Reb Leizera, przejścia podwórzowe, różne rodzaje najszkaradniejszych bruków z kałużami cuchnącej cieczy, wijące serpentynę! zaułki jak Szklanna, Jatkowa i inn., jak też nędzne sklepiki wszelkiej tandety i starzyzny...

Jeśli chodzi o typy ludzkie, to widzimy tutaj sylwety poważnych starców, ślęczących nad talmudem lub wygrzewających się na słońcu, jak też biedne, pozbawione w mieszkaniach słońca dzieci, z troskane matki z niemowlętami na ręku, wyczekujących zarobku tragarzy, bądź żmudnych, bądź wesołych, arkady po zaułkach, sceny uliczne i t. d. Na ogół zbiór ciekawy i starannie dobrany.

Gardiner.

„Ziemia Lidzka”.

Pod tą bezpretensjonalną nazwą wychodzi już drugi rok w Lidzie miesięcznik krajoznawczo-regionalny. Tylko przerwie zaszłej w r. ub. i wolniejszemu w r. b. o połowę tempu naszego wydawnictwa należy przypisać, że dotychczas nie zabraliśmy głosu w sprawie „Ziemi Lidzkiej”.

Wymieniony organ, jak bodaj żaden inny z drukujących się na prowincji, nie wykazał tyle zamilowania i czynnego kultu dla przeszłości ziem b. W. Ks. L. Przechodząc do porządku dziennego nad płytkimi gustami prowincjonalnej publiczki, żadnej głównie sensacji ze świata dalszego, a walcowania płotek z własnego podwórka, „Ziemia Lidzka” postawiła sobie cel równie szczytny, jak trudny—budzenie dziś wśród obywateli i powiatników zamilowania do przeszłości tak starożytnego grodu lidzkiego, jak też ciężących doń ziem. Niezrażona żadnymi przeciwnościami, „Ziemia Lidzka” pozostała do dziś wierną swemu założeniu ideowemu i dała już szereg rzetelnie opracowanych artykułów mniejszych i większych, które rozświetlają dzieje powiatów lidzkiego i szczuczynskiego oraz pozostałych na tym terenie zabytków architektonicznych.

Wymienimy większe artykuły: „Krótki przewodnik turystyczny po powiatach lidzkim i szczuczynskim”, „Rok 1812 w powiecie lidzkim”, „Powstanie listopadowe w pow. Lidzkim” (Antoni Grzymała-Przybyłko), „Rzeka Dzitwa”, „Trakt Królewski” (Michał Szymielewicz), „Dzieje pijarów lidzkich”, „Wróżby ludowe”, „Mieszczanie lipnicy w obronie przywileju Konstytucji 3-go Maja” (Leopold Chronic), „Dziejopisarz narodu litewskiego”, „Zamek Mirski”, „Ludwik Narbutt”, „Gościniec Lidzki” (Aleksander Snieżko), „Szkoły pijarskie w Lidzie” (Władysław Abramowicz), „Ejszyski” i inn. Na uwagę też zasługuje „Pamiętnik Mirona Bronisława Narbutta”. Wszystkie te szkice historyczne, a wśród nich jest drukowana we fragmentach monografia Ał. Snieżki: „Zamek Mirski”, cechuje sumienne przestudjowanie źródeł architektonicznych i gorące a bezinteresowne ukochanie przeszłości. Dobry wybór ilustracji ożywia treść.

„Ziemia Lidzka” winna być wzorem, jak należy prowadzić badania i pielęgnowanie przeszłości krajowej.

S. D.

Piąta konfiskata.

Z kolei uległ konfiskacie Nr. 5 „Przełądu Wileńskiego”. W nakazie starostwa powód konfiskaty nie został wymieniony.

Od Wydawnictwa.

Zgodnie z zapowiedzią, zamieszczoną w № 4, jesteśmy zmuszeni zawiesić wydawnictwo pisma na przeciąg dwóch letnich miesięcy. Mamy nadzieję, że we wrześniu, po odbytej kuracji, Redaktor będzie mógł przystąpić do pracy w pełni sił.

D R U K A R N I A

„KRAJOWA”

WILNO, GDAŃSKA 6

T E L E F O N 2 0 3

Wykonuje druk czasopism w jęz. krajowych •